



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

E P O D O N.

Ludzie, patrząc na moje zaciśnięte usta,
I na czoło zmarszczone, i zimne źrenice,
Myszą, że i pierś moja zimna jest i pusta,
I mówią, że się serca samotnością szczyćce.

A jednak... na bezbrzeżnym morskich wód rozlewie,
Gdy południowe słońce, wisząc na zenicie,
Rumieni atlasowe pióra śpiącej mewie,
Albo w fali złociste znajduje odbicie,

A jednak, gdy w bezludnej lodowców krainie
Wchodzę na lotne wieże zmarzłego błękitu,—
I gdy niebem północnem klucz żórawi płynie,
Ponad stepy, w godzinę wstającego świtu,—

Wtenczas zrywa się we mnie uczuć gwałt i rwanie,
Wtenczas opada z serca pył gorzki i szary,
Wtenczas w głębinach duszy pękają otchłanie
Pełne jasnej miłości i cichej ofiary.

Wtenczas kocham świat cały... Mgłą zasnuty ostęp,
I śnieg mirtów, i grzmiące na skałach orkany,
I kocham zbrojne hufce wojsk, idących w postęp
Przez szafirowe morze i przez step rumiany.

O, jaka miłość!! Mógłbym rękami drżącemi
Świat porwać na ramiona za mirtowe sploty,
I wielki hymn ludzkości, lecący od ziemi,
Rozwiewać po eterach jak huragan złoty.

Ale na zwykłych szlakach, w nieprzejrzanej smudze
Tłumów spętanych życiem nakształt zgasłej lawy,
Gdy w pierś moją oddechy mieszają się cudze,
A horyzont przesłania tuman kurzu rdzawy;

Gdy taka piechotników fala mnie dogoni
I pochyli nade mną swą stuoką głowę,
Chcąc wiedzieć, jak się płomień miota w ludzkiej skroni
I jakim tętnem bije serce konwaliowe;

To chociażbym pamiętał, że razem ze zgrają
Iść muszę, że na jedną skazaniśmy drogę,
Naprawdę. Mdleją skrzydła, w oczach lży mi stają,
I zamkniętego serca otworzyć—nie mogę.

„Leon Płoszowski.”

Pod Wiedniem, 1899.

MATKA-MUZA.

przez

X. Y. Z.

„Za największe biore sobie to, zem był zrodzony przez ciebie, ja, ciągle na świecie oskrzydłony przez miłość twoją...“
(Z listu Juliusza Słowackiego, pisanego do matki w d. 15 Października 1845 r.)

„Sobie śpiewam a Muzom; bo kto jest na ziemi, Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi? Kto nie woli tymczasem zysku mieć na pieczy, Łapając grosza zewsząd!—a podobno krzeczy, Bo z rymów cóż za korzyść, krom próżnego [dźwięku?]
A kto ma pieniądze, ten ma wszystko w ręku...“

Tak skarżył się „Muzom“ Jan Kochanowski na obojętność ludzi, którzy „cisną się za złotem, a poeta słuchaczów próżen gra za płotem“
Więc ofiarował się poeta na służbę „pannom, którym lotnego konia zdroj smakuje“ i porzuciwszy ziemskie szlaki, podążył drogą nadobłoczną w krainę piękna i poezyi. Zkąd tylko z litością miał patrzeć na walkę o złoto i „perły drogic“ na obojętność „pospółstwa.“
Więc nawet Jan z Czarnolesia, jeden z najszcześniejszych naszych poetów, jeden z najpogodniejszych umysłów swego wieku, uskarżać się musiał na ludzką obojętność i pocieszać:

„Jednak mam tę nadzieję, że przed się za laty, Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty,
A co mu za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.“

Prosił więc muz o nieśmiertelność, aby i potem „był u ludzi w powieści uczciwej, a nie podlegał wszystkim śmierci zazdrościwej; do tego mi pomóżcie, o boginie święte!“
Podobne myśli i prośbę wypowiedziane raz jeszcze w poezyi polskiej, w równie wyraźny acz odmienny sposób, znajdujemy tylko u Juliusza Słowackiego.

Tylko Juliusz ofiarował się od dziecka na służbę „Muzom,“ zanim mógł doznać jeszcze, czem stać się może obojętność ludzka. Potężna jego indywidualność rwała się wcześniej ku wdzięcznym zesłankom niebios, o dalekiej marząc przyszłości, o życiu poetycznym jak baśń czarodziejska, o laurach i blaskach, przed którymi już drżał umysł dziecka-poety i pod arkady świątyni stał modlitwą żarliwą, by mu Bóg dał życie poetyczne i sławę pośmiertną w przyszłości — choćby tu, na ziemi, przyszło iść po cierśniach i głogach przez łzy i smutki, byle tam dotrzeć i zapanować niepodzielnie jak król w krainie pieśni.

Muzy darów nie szczydziły, ale też wiodły poetę przez ciernie upokorzeń, przez mgły smutku, przez tęsknicie nieugaszone ku przyszłości nieśmiertelnej. A poeta musiał żyć na ziemi i potykać się o niezrozumienie: „sobie a muzom śpiewać.“
Więc lutnia drgająca smutkiem ludzi razić poczęła i serce poety bólem kurczyło, że musi mieć „słuchaczów głuchych—albo umarłych *).“

„Walka z obojętnością“ ludzi podobną jest do walki Tytanów—pisał Juliusz.

Muzy dawały natchnienie, ukazywały gloryę w przyszłości, ale rzucały poetę na pastwę obojętności ludzkiej. Chwile osamotnienia były gorzkie, ciężkie, straszne czasem.

Na szczęście znalazła się jedna muza, która nie żądając dla siebie, dawała pocie bardzo wiele, bo wszystko co miała, która nie mieszkala na Parnasie, lecz z błogosławieństw swoich dawała „blaski gwiazdom podobne i cień w puszcach Gazy **),“ której miłość świeciła niezmiennie, trwale i jednakowo przez całe życie poety, a która nie była muzą-niebianką, lecz ko-

bieta z ducha, krwi i kości, bo była matką nieśmiertelnego Juliusza, a opromienioną w jego oczach takim blaskiem niezemskim, że ją nawet poeta we wdzięcznym kole muz umieścił.

„Mówię wszystkim, ty jesteś dziesiątą muzą“—pisał Juliusz w liście do matki, datowanym z Florencyi w dniu 21 Sierpnia 1838 roku.

O tej muzie pisać chcemy; jej wpływ na umysł Juliusza był tak znaczący, jej postać tak czcigodną, a tak ukochaną przez syna i jemu najbliższą, że słów tych kilka niech będzie małą częścią hołdu, oddanego pamięci tej kobiety, do której Juliusz pisał, że „jeśli miałem kiedy poezję w sercu, to ją wziąłem od Ciebie.“

Nie było to łatwym zadaniem wychować tak dumne orle, jakim był Juliusz. Ten „ogień chodzący“—to „niepohamowane dziecko“ miało wyobraźnię tęczową, olbrzymią. Duch musiał brać przewagę nad ciałem, musiał żyć jego kosztem. Matka też wcześniej o zdrowie Juliusza lękać się musiała; przed jej wzrokiem stało widmo choroby piersiowej, na którą umarł ojciec poety w samej sile wieku.

Między rokiem trzecim i czwartym życie Julka na włosku wisiało. Bóg i gorące starania matki wydarły go śmierci. Tem należy tłumaczyć, że obchodzono się z młodzieńcem w domu państwa Bem z wielką wyrozumiałością, że mu folgowano, a nawet pieszczono.

Był jedynakiem o wątłym organizmie ciała, o nerwach niesilnych, z umysłem przedwczesnie rozwiniętym i zdolnym, z usposobieniem poetycznym, z którym należało się rachować. W dodatku Juliusz miał twarz pełną wyrazu o dużych oczach, więc siostry jego przyrodnie, piękne panny Bem, lubiły trefić ciemne kędziory dziecka i obchodzić się z wążem dzieckiem jak z gatkiem. Wszak czytamy w „Godzinie myśli,“ że nie sądzono długiego życia małemu Juliuszowi.

Wychowanie podobnego dziecka wymagało poświęcenia. Należało uwzględnić stronę fizyczną przede wszystkim, aby ciało nie padło ofiarą ducha, a ten w Juliuszu nie rozwijał się przeciętno i wybujał wcześniej. Tylko wielkim staraniem pani Bem zawdzięczać należy, że Juliusz ostatecznie rozwijał się normalnie, że mógł jak inne dzieci systematycznie z nauk korzystać. Odyniec lubi opowiadać o „kaprysach Julka, którego znał od dziecka, jak również o jego drażliwym usposobieniu, zwałając wszystko na karb wygórowanej pychy, zarozumiałości, zazdrości, etc. Ale Odyniec przynajmniej z uwielbieniem o matce poety się wyraża. Gorzej jednak czyni jedno z pism, wyszłe z koła pedagogów doświadczonych (przy sposobności sprowadzenia zwłok Mickiewicza do Krakowa), bo matkę Słowackiego obwinia i czyni odpowiedzialną za „owe“ kaprysy Julka, za winy i grzechy, które owe pismo przypisało poecie. Nie ma potrzeby pisać tu apologii pani Salomei Bem. Czas wyswiecił dużo, więc i reszta wyswieci. Przyszłość nie odziera z uroku, lecz targa fałszy. Ta sama przyszłość gotuje matce Juliusza hołd należny i cześć.

Dwie te postaci, matki i syna, tak są sobie bliskie, że nam nawet płomienne marzenia Juliusza, jego sny i widzenia, nie mogą zasłonić, ni zmazać rysów tej wdzięcznej muzy, która była matką jego.

Wychowanie wątłego dziecka z chwilą śmierci Euzebiusza Słowackiego, stało się jeszcze trudniejszym. Nie pomylimy się, twierdząc, że powtórne śluby pani Salomei z profesorem uniwersytetu wileńskiego p. Bem, przedewszystkiem dobro i przyszłość syna miały na celu. Wzajemnie wiemy, że pani Salomea stała się dla młodych panien Bem nie macocha, lecz matką prawdziwą, że z obowiązków swych wywiązała się iście po macierzyńsku, że sobie zarobiła na miłość i poszanowanie przybranych córek na całe życie.

Ujęte dobrocią opiekunki, panny Hersylia i Aleksandra Bem, prawdziwie siostrzanemi staraniami otoczyły Julka, który też nie okazał się niewdzięcznym i serdecznie się do obu panien przywiązał. Szczęśliwe to były czasy dla Juliusza, te pierwsze lata młodości, spędzone u boku matki. Pierwszy ten okres jego życia upływa

bez wstrząsających wydarzeń, spokojnie, a jednak zaznacza się w jego umyśle jak sen, jak widzenie, które jednak snem nie było, jeno prawdą i rzeczywistością. Juliusz nie wiedział na razie, ile tym cichym szczęśliwym czasem miał później do zawdzięczenia.

Matka nie szczydziła żadnych starań, aby zapewnić synowi gruntowne wykształcenie, aby ambitnemu Julkowi dobrze mogło być na świecie. Ułatwia zatem naukę nietylko systematycznie i umiejętnie, ale i to co życie łatwiejszem czyni, zdolność życia z ludźmi. Dom otwarty pani Salomei Bem słynie z gościnności i pociąga nietylko pięknoscią panien Bem, ale i urokiem samej gospodyni, pełnej życia, naturalności i dowcipu. Dzięki temu, Juliusz od dzieciństwa już w dobranem znajduje się kole i nietylko się uczy „po szkolnemu,“ ale i kształci, obcując z innymi, a przytem doskonale się bawi, w czem matka dzielnie mu dopomaga.

Juliusz nieraz później wspomina sobie dar matki z dzieciństwa, swoją „Achillesową zbroję“ lub udział jej i pomysły w nowych zabawach, jak np. ten epizod, wspomniany w liście z Genewy (z dnia 5 Lutego 1835 roku, a to z okazji podobnej zabawy w domu pp. Wodzińskich), kiedy poeta tak pisze do matki: „Graliśmy w szarady i ciągle mi były przytomne w pamięci nasze wieczory wileńskie, kiedy układaliśmy żywe obrazy, kiedy Olesia (Aleksandra Bem) była Judytą, a Masalski (instruktor Juliusza) Holofernelem, kiedy Teofil (Januszewski, wuj poety) na czterech nogach wchodził do salonu, wioząc na grzbiecie ciebie, mamę, i małego Ferdusia, udając niby ucieczkę do Egiptu.“

Jeżeli ten szczegół świadczy dodatnio o pomysłowości autorów żywej szarady, to niemniej rzuca on światło na miłe, żywe usposobienie matki poety, która humorem swoim umiała dostosować się do wesołości bawiącej się młodzieży i być jej prawdziwą przyjaciółką. Żywosć, czynność, wesołość i dobroć charakteryzowały panią profesorową.

W losach rodziny swojej bierze serdeczny udział; wzajemnie rodzina dalsza i bliższa z jej zdaniem się liczy, jej radę ceni lub pomoc przyjmuje. Śledząc dziś obraz tego życia rodzinnego, choćby tylko z listów Juliusza, przynajmniej musimy, że ma ten obraz w sobie coś dziwnie pociągającego, że jest obrazem znanym z tradycyi, to jest naszym nawskroś polskim, a postać samej pani Bem wdzięczną i szanowaną sylwetką kobiety z tych czasów, w których wpływ ujemny zachodu tak wiele mógł popsuć charakterystycznych rysów pań naszych.

Szczęściem, było inaczej.

Umysł pani Salomei, mimo poloru i ukształcenia niezwykłego, zachował naturalność i prawdę, choć nie uchronił się może od wpływu nieuniknionego wówczas sentymentalizmu, cechującego umysły kobiet ówczesnych, to przecież nie skrzywił, nie spaczył przymiotów jej serca. O wszem, nadał obrazom jej lekkie zabarwienie, na tle którego zrozumiałej i wypukłej wychodzi postać tej pani.

Nie mogła być inną matką romantycznego Juliusza. Inaczej nie byłoby się tak dobrze zrozumieć, ani dziecko o ciemnych oczach nie byłoby przed matką rozwijało snów „przyszłości.“
Jej „tęczowa“ wyobraźnia nie mogła krępować uczuć dziecka i na odwrót, przyszły poeta nie byłby pisał, że „jeżeli miałem jaką poezję w sercu, to ją wziąłem od ciebie.“

Rozumieli się oddawna, nie więc dziwnego, że kiedyś, w umyśle już dojrzałym syna, postać pani Salomei zarysowała się nietylko jako widzenie matki ukochanej, ale też równocześnie jako lotna postać muzy, podsuwająca dawne a drogie wspomnienia i temi wspomnieniami budząca do natchnień.

Dziecko rozwijało się tymczasem pomyślnie pod okiem matki. Jeżeli wątły organizm syna budził w niej obawy, to za to umysł jego i talenty niemałą zapowiadały pociechę w przyszłości. Juliusz bez trudu przyswajał sobie naukę i czynił w niej świetne postępy. Był zawsze celującym uczniem. Ale te właśnie talenty, jego zdolności do wierszowania, muzyki, rysunków

*) Grób Agamemnona.

**) Beniowski.

i tańca, w ogóle wszystkie dary muz łaskawych, mogły być skrzywić miłość matki, mogły wyrobić w niej próżność i zaślepienie. Ale pani Bem nietylko całą duszą kochającą, ale i rozumną była matką, która i na wady syna bez złudzeń patrzeć umiała. W rozmowie z Odyńcem wyraziła obawę, czy Juliusz będzie umiał kiedy na ludzką zarobić sobie miłość?

Znała go dobrze. Znała to dumne serce, niełatwe do pozyskania, lecz niemniej przeto szlachetne i czyste, umysł również skłonny do uniesień i egzaltacji, jak i do potępienia wad cudzych.

Matka nie mogła nie drżeć o przyszłość jednaka. Mamy prawo sądzić, że znała jego tajne marzenia, że dzieliła górne myśli syna, że odczuwała ten pęd ku światom poezji, jaki się już budził w zaraniu jego życia.

I dla tego musiała drżeć o przyszłość, o to, co da życie wzamian za świetne marzenia, czy wcieli się one w czyn, czy duch wydaży szlakiem gwieździstym, a wreszcie jeśli i wydaży, czy wystarczą siły fizyczne, których Juliusz nigdy nie miał za dużo. Na szali jednak uczuć zawsze miała zwyciężyć niezgłębiona miłość matki. Przytem umysł tej kobiety miał jakąś świetlaną pogodę i wdzięk szczeroci, który ku niej pociągał, a przytem miała wiarę prawdziwą w pomoc Boską.

Ten kierunek odbił się w życiu Juliusza. Nie jest naszym zadaniem przedstawić, jakie fazy przechodził; dość wspomnieć — jak umierał poeta i z jaką wiarą duszę swą Bogu oddawał.

Nekana różnemi obawami, posyła pani Bem synowi w r. 1845 obrazek Matki Boskiej Berdyczowskiej, tej samej, do której z małym Julkiem często pielgrzymowała, oddając Jej opiece wątłego synka i o zdrowie dłań prosząc — „Ta sama, która nade mną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw i służył Bogu” — pisał Juliusz do matki w Lutym 1845 roku, odnosząc to zapewne do wypadku, który zdarzyć się musiał w jego dzieciństwie.

Ten pierwszy okres z życia matki Juliusza Słowackiego, poświęcony wychowaniu syna i łączący się ściśle z życiem samego poety, dostarcza biografom tegoż obfitego materiału. Dzięki temu, postać pani Bem nie została obcą i rysuje się wdzięcznie, jako postać czule kochającej matki, kobiety rozumnej, wysoko inteligentnej, wykształconej i takiej, która z przyjętych na się obowiązków chwalebnie i sumiennie wywiązać się umiała.

Jakkolwiek los nie szczędził jej razów, żyje ona w atmosferze szczęśliwej obok ukochanych drogich osób, którym jest potrzebna, obok syna, który jest celem jej życia i którego postępowanie i powodzenie chlubę jej przynosi i zadowolenie.

W r. 18... Juliusz kończy nauki uniwersyteckie w Wilnie i wraca z matką do rodzinnego Krzemieńca, do domu jej rodziców. Mimo całego jednak przywiązania, nie mógł na razie Juliusz ocenić dostatecznie uroków tych chwil, które spędzał w domu, u boku matki. Zanadto bowiem urósł w ciepłą atmosferę, zanadto do niej się przyzwyczaił, aby mógł przypuszczać, że może być inaczej.

Tęsknił nawet za innym życiem. Był młodym, żadnych wrażeń, czynu, z całym zasobem nie ziszczonych marzeń młodzieńczych, rwał się więc ku zmianie, pragnął jej, tem więcej, że trzeba było myśleć o przyszłości i obraniu pewnego zawodu. Juliusz odbył studia prawnicze, więc trzeba było szukać szczęścia na tem polu. W tym celu zatem udaje się Juliusz w r. 1829 do Warszawy a chwila ta, to nowy okres w życiu tak matki jak syna. Ona bowiem rozdziela oboje na długo, na całe prawie życie.

Odtąd będzie się zjawiać matka Juliusza przed oczami syna jak cudne, drugie wspomnienie, co go napełniać pocznie nieugaszoną tęsknotą, różną, jednej jeszcze tylko tęsknocie i pragnieniu, które również nigdy już zaspokojonem być nie miało.

Oboje mieli się odtąd spotykać tylko w krainie myśli.

Nieraz słyszeć można o podobieństwie, jakie łączy ma obie postacie matek, Göthego i Słowackiego. Równie jednak wyjątkowego położenia jak u matki Słowackiego nie znajdzie się prędko. Ten rozdział z synem na lata długie, wygląda jak fatum nieuniknione, które weisnęło się w życie dwojga drogiej sobie istot.

Odtąd w pamięci poety snuć się będą tylko wspomnienia pierwszej młodości spędzonej u boku ukochanej matki, rodziny, na tle rodzinnego krajobrazu, który poecie dostarczy cudnych lecz bezdenną tęsknotą malowanych obrazów. Te wspomnienia dostarczą wątku, rysunku i uczuć całej twórczości Juliusza i snuć się tam będą jak cudne, lotne kreacje jego bujnej fantazyi.

Już odtąd poecie nie było sądzonem zażyć prawdziwej radości. Wśród zabawy najweselszej, z pośród grona ludzi najmiłszych, z przed obrazów najfantastyczniejszych, myśl jego rwała się — tknięta najłżejszym bodaj podobieństwem analogicznym — i uciekała w stronę tych, ku którym naprawdę całe życie tęskniła.

Woń siana skoszonego na łące, łańcuch lejących bocianów, podobieństwo rysów twarzy do osób dawno znanych, melodia jakaś słyszana w dzieciństwie, motylek, widziany niegdyś nad Wilenką, to jakby litera z dawnego pisma, „w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana” *).

Te wspomnienia to punkt ciężkości, o jaki poeta zawsze ostatecznie oprzeć się był musiał. Ale dla poety był świat, cały olbrzymi i nieskończony świat poezji, cała kraina twórczej wyobraźni, która porywała za sobą jego duszę, oddziaływała od reszty świata, dawała natchnienia i wizje rzeczy anielskich, pozwałała żyć wysoko, daleko po nad ziemią.

Jeszcze na 3 miesiące przed śmiercią, w dniu 22-im Stycznia 1849 r. w liście do Teofilów Januszewskich pisze Słowacki:

„Za miskę soczewicy jednak nie sprzedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło cieleśnie i w niedostatku przecierpieć...”

Były bóle — ale były i szczytne chwile szczęścia, uniesień i przeczuć o przyszłej wielkości. Ale dla matki? Dla matki zostać miały wspomnienia razem spędzonych czasów; one były jedyną rzeczywistością jej własnością. Nie przypuszczała tego jednak pani Bem, żegnając Juliusza na drogę do Warszawy, gdzie życie jego przybierało formę, ułożoną wspólnie z matką, w widokach przyszłości.

Widzimy wówczas Juliusza przy stoliku kancelaryi sądowej w Warszawie, pracującego pilnie i sumiennie t.j. przepisującego. Można sobie wyobrazić, jak to zajęcie licowało z usposobieniem poety i nie pomylimy się twierdząc, że cierpliwe przepisywanie przy kancelaryjnym stoliku, było wiernem i należnem poszanowaniem woi matczynej, dążącej do ustalenia dłań pewnej pozycyi w świecie.

Ale Juliusz w krainie swych myśli znajdował stókróć większe bogactwo i horyzonty, niż te, które mógł wywalczyć pracą przy biurowym stoliku, więc wcześniej, czy później musiał zrzucić pęta i stargać je musiał, podążyć za lotem wyobraźni i natchnień, które od Boga pochodzą, musiał stać się tem, do czego był przeznaczonym. I tak się stało.

Obrał los Derwida.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wychowanie publiczne w Anglii.

Wyszła niedawno książka, która bardzo wiele hałasu narobiła we Francyi; tytuł jej: „Na czem polega wyższość rasy anglo-saskiej?” przez Ed-

munda Demolins. Wywołała ona tysiące odezw po pismach, które zaalarmowane wróżbami stawianymi przez autora co do przyszłości rasy francuzkiej, poczęły się zastanawiać, o ile słuszne są zarzuty czynione przez niego szkołom i urządzeniom własnego kraju i czy w istocie tylko szkołom angielskim należy się uznanie, że wychowują ludzi? Niezmiernie ważne to pytanie: nic też dziwnego, że książka, która dotyka tak doniosłego zagadnienia, została rozchwytaną w mgnieniu oka przez publiczność. Trzeba przyznać, że jest bądź co bądź dowodem żywotności społeczeństwa, jeśli jakakolwiek kwestya zdoła rozbudzić w niem tak silne zainteresowanie.

Autor najpierw roztrząsa system szkolnictwa we własnym kraju, oraz w Niemczech. Rezultaty, osiągnięte przez te oba systemy są bardzo wadliwe, stwarzają bowiem nie ludzi samodzielnych, zdolnych do jakiegokolwiek bądź inicjatywy, lecz albo karyerzystów życiowych, przesłizgujących się w jak najszybszy sposób przez szkoły, aby osiągnąć wygodną posadę publiczną, lub też biurokratów i inne bierne narzędzia państwowe, służące do podtrzymywania pruskiego militarystu. Jako przeciwstawienie p. Demolins pokazuje nam szkoły angielskie, wraz z całym ich urządzeniem i programem, do którego się stosują, potem stawia nam przed oczy przykłady energii, żywotności i samodzielności społeczeństwa angielskiego i zapytuje: które rezultaty są lepsze? Czy te, które dają szkoły francuzkie i niemieckie, czy też pełne praktycznego zastosowania szkoły angielskie?

Autor opisuje dalej swoją wycieczkę w celu zwiedzenia jednej ze szkół najnowszego typu w Bedales. Szkoły te przedewszystkiem mają za cel jak najbardziej obznajomić i zbliżyć ucznia z życiem praktycznym, którego starają się być wiernym obrazem. Najlepiej objaśnia nas tu słowa programu: „Starać się, by uczniowie mieli do czynienia zarówno z rzeczą, jak z wyrazem ją oznaczającym, w ten sposób, aby mogli przechodzić wciąż od strony konkretnej do abstrakcyjnej. Wychowywać młodzież tak, aby zawsze umiała w życiu zastosować to, czego się nauczyła i wszczepiać w nią pojęcie, że się uczy dla siebie samej, a nie dla pochwał i nagród.”

Angielscy pedagogowie w ogóle przypisują szkodliwy wpływ wzbudzaniu emulacji pomiędzy uczniami, będąc tego zdania, że chcąc dzieci zrobić ludźmi, trzeba ich traktować jak ludzi, odwołując się jak najczęściej do ich sumienia i poczucia obowiązku. „Nie trzeba, aby dzieci myślały, że nagroda i medal są celem i końcem wychowania szkolnego. Uczniowie powinni się nauczyć, że życie nie jest loteryą, ani też areną do wysiłków, w celu zadowolenia próżności.”

Tegoż samego systemu co do nagród trzymają się szkoły amerykańskie. Przytoczymy tu słowa dyrektora jednego z zakładów w Minesocie: „Nie rozdajemy nigdy nagród naszym uczniom... Gdy się zdarza, że opracowują jeden i ten sam przedmiot, a ja muszę ocenić ich pracę, staram się, by z moich słów żaden z uczniów nie odgadnął, który zrobił najlepiej. Powiadam każdemu: zrobiłeś lepiej lub gorzej niż poprzednio; ale nigdy nie mówię, że zrobiłeś lepiej niż który z jego kolegów. Według mego zdania, źle jest bardzo, jeśli dziecko powiada sobie: „Jestem wyższy, niżli tamten;“ powinno raczej mówić sobie: Jestem wyższy nad to, czem byłem przed tygodniem. Wychowanie fizyczne ogromne zajmuje miejsce w programie, który za jedno z głównych zadań uważa rozwinięcie siły i krzepkości, obok znajomości i zamiłowania do zajęć przemysłowych, energii w przedsięwzięciach i dokładnej, sumiennej oceny pracy, spełnianej tak przez siebie, jak przez innych. Aby zbliżyć się jak najwięcej do życia rzeczywistego, uczniowie spełniają prace, które służą do natychmiastowego użytku i można prawie powiedzieć, że oni to zbudowali i urządzili całą swoją szkołę, oraz stworzyli połowę używanych przez siebie sprzętów. W ogóle praca ręczna, oraz ćwiczenia ciała zajmują większą część czasu w rozkładzie zajęć dziennych. Następnym wykaz okaże,

*) Z listu z d. 2 Października 1843 r.

najlepiej, o ile inaczej zapatrują się Anglicy na wychowanie niż my:

Praca umysłowa	5 godzin.
Cwiczenia ciała i praca rącz. 4½ "	
Zajęcia artystyczne i rozrywki towarzyskie	2½ "
Sen	9 "
Obiad i czas wolny od zajęć 3 "	
Razem 24 godziny.	

P. Demolins zestawia ten program z przeładowaniem nauką, istniejącem w szkołach francuskich, w których dziecko 9-letnie zmuszone jest poza godzinami szkolnymi jeszcze pracować nad zadaniami i lekcjami częstokroć aż do 10 tej wieczorem, i słusznie dodaje, że takie przeciążanie nie tylko jest szkodliwe dla zdrowia, ale i dla samej nauki, spoczywa bowiem na fałszywym pojęciu, że nauka mierzy się czasem, który spędzamy nad książką. Ciekawa rzecz, co by powiedział, gdyby widział nasze dzieci, siedzące nad lekcją do 11-ej godziny w nocy.

Szkoła w Bedales, jak większa część zakładów wychowawczych angielskich, znajduje się wśród wiejskiego otoczenia pól i lasów, co nie tylko zapewnia młodzieży zdrowie moralne i fizyczne, ale ułatwia im też zbliżenie się z przyrodą. Wykład nauk przyrodniczych odbywa się w ten sposób, że uczniowie przynoszą na lekcję zebrane przez siebie okazy; dziecko zanim się nauczy klasyfikować rośliny i zwierzęta, wprawdzie przypatry się im dobrze jak wyglądają i jaką mają budowę. Nauczyciel może zapytać dziecko: „Gdzie znalazłeś tę roślinę? Na jakim gruncie? Czyś zauważył jej kształt ogólny, warunki jej wzrostu i t. d.“ O ileż taki wykład jest żywszy, bardziej zajmujący i więcej przynoszący pożytku, niż ten, który u nas jest w zwyczaju.

W wykładzie historii nauczyciel zamiast obciążać ucznia datami i faktami, stara się raczej ile możności rozbudzić w nich zainteresowanie co do przyczyn i skutków wydarzeń historycznych. Usiłuje wykazać stosunek pomiędzy charakterem fizycznym i politycznym kraju a jego rozwojem handlowym. Rozpoczyna od historii Anglii, później zwraca uwagę na peryody charakterystyczne w historii świata. Przy wykładzie dziejów Grecji wykazuje początek większości społeczeństw nowych, przy wykładzie dziejów rzymskich stawia przed oczyma uczniom typ społeczeństwa silnie zorganizowanego i skłonnego do rozlewania się nazewnątrż.

Do lat piętnastu nauczanie jest jednakowe dla wszystkich uczniów, później różni się mniej więcej według zajęcia, jakie sobie każdy obiera. Stosownie do tego, czy który zamierza postąpić do uniwersytetu, albo też poświęcić się rolnictwu, przemysłowi, handlowi lub pracom kolonizacyjnym, kładzie się większy nacisk na taki lub inny przedmiot, odpowiedni obranemu fachowi. Z tego widzimy, że tutaj umysłu ucznia nie rozciągają na Prokustowym łożu, aby mógł wejść w sztywne ramy przygotowane z góry, gdyż, jak słusznie zauważył p. Demolins, w Anglii szkoły są dla uczniów, nie uczniowie dla szkół.

Zakład, pomimo pilnego i czujnego dozoru w rzeczach ważniejszych, stara się o pozostawienie dzieciom pewnej samodzielności i inicjatywy. Gdy na folwarku zachorował jeden z parobków, uczniowie z własnego popędu przez trzy dni spełniali za niego wszystkie czynności i doglądali bydła. Raz zachciało się im mieć swego konia, kilku więc starszych wybrało się na jarmark dla kupienia go.

Szczerść i zaufanie dzieci względem nauczycieli jest godną uwagi. Ci ostatni mają zwyczaj brać udział w ich przechadzkach i zabawach i zachowują się w ich towarzystwie jakby starsi koledzy, używając nawet niekiedy ich sposobu mówienia. Dyrektor szkoły, aby obznajomić uczniów jak najwięcej ze sprawami żywymi, poleca starszym z nich załatwianie różnych, dość poważnych interesów, jak naprzykład wydobycie pieniędzy z banku.

Życie towarzyskie także nie jest zaniedbane. „Naszym celem, powiada dyrektor szkoły, pan

Reddié, jest przyzwyczajając młodych ludzi, by nie byli ani niezgrabnymi, ani nieśmiałymi i aby lubili towarzystwo osób starszych. To też wieczorem, zgromadzając się w salonie szkolnym, spotykają tam żony i córki profesorów lub też gości, którzy nas odwiedzają.“

Uczniowie, zgromadziwszy się we wspólnym salonie, zajmują się częstokroć śpiewem i muzyką, która odgrywa wielką rolę w programie; czasem dają przedstawienia amatorskie, do których sami zbudowali scenę. Wspólnymi siłami wydają pismo p. t. „School Magazine.“

Dzień rozpoczyna się i kończy w kaplicy szkolnej na śpiewach pobożnych i czytaniu ustępów z Biblii. Według słów programu, religia ma być przedstawiana dzieciom jako całość organiczna i harmonijna, która powinna przewodzić w całym życiu i stworzyć dla niego silną, niezachwianą podwalinę.

Łatwo zrozumieć, jakiego ogromnego nakładu potrzeba, aby podobną szkołę w ten sposób prowadzić; jest to dostępnem tylko dla bogatego społeczeństwa, posiadającego dużo inicjatywy prywatnej. Społeczeństwa uboższe, jak nasze naprzykład, mogłyby nie tylko niektóre rzeczy naśladować u siebie, a mianowicie owo uwzględnianie rozwoju fizycznego i stosowanie nauk do praktyki życiowej, oraz najważniejsze ze wszystkich wyrobienie charakterów.

Po przedstawieniu obrazu szkoły angielskiej, Demolins znów czyni zwrot ku wychowaniu publicznemu we Francji i wykazuje jak najwyraźniej całą jego wadliwość. Między innymi zarzutami stawia ten najgłośniejszy, że szkoły francuskie *nie wychowują ludzi przygotowanych do stawienia czoła trudnościom życiowym, lecz kandydatów zdolnych tylko do zwalczania trudności egzaminu.* „Wszystko jest poświęcone temu celowi najwyższemu: egzaminowi. Zdaje się, że jest to kres, u którego kończy się życie młodzieńca, stara się też on go doścignąć za pomocą różnych sztucznych środków.“ Czy w tem miejscu nie nasuwa się uderzające podobieństwo z pojęciami, wyznawanymi u nas przez ogół rodziców i dzieci?

W następnym rozdziale autor zapytuje: Jak mamy wychowywać dzieci? Tutaj znów porównywa oba społeczeństwa: angielskie i francuskie i wykazuje, jak różniami są zapatrywania rodziców w obu tych krajach. Przedewszystkiem, powiada, rodzice angielscy nie myślą, że dzieci należą do nich wyłącznie, że są jakby ich rzeczą, prostem przedłużeniem ich własnej osobowości. Przeciwnie, uważają, że to są istoty, które wkrótce staną się niezależnymi. Ich poświęcenie rodzicielskie nie spoczywa na tem, aby dzieci zagarnąć dla siebie, trzymać je jak najdłużej przy swoim boku, naginać je do własnych wymagań i przyzwyczajęń, i uczynić z nich dla siebie miłe i wygodne otoczenie, co więcej zdradza egoizm, niż istotne przywiązanie, które winno więcej myśleć o dobru dzieci, niż o własnej przyjemności.

Następnie rodzice angielscy zapatrują się na dzieci od samego ich urodzenia, jak na przyszłych ludzi. Nie uważają ich jak zabawki, ani jak duże dzieci, wtedy kiedy już są dorosłymi i dojrzałymi. Wiadomo zaś, że jak się traktuje człowieka, takim on się staje.

Nie tylko dbają o ich zdrowie, ale o rozwój energii i siły fizycznej.

Starają się, by dzieci nabierały praktyki życiowej i dla tego dają im rozmaite zlecenia i powierzają różne sprawy, wymagające natężenia woli i energii.

Nie czują pogardy dla pracy ręcznej i nie uważają, że są zajęcia mniej lub więcej szlachetne, rozróżniają tylko ludzi zdolnych i niezdolnych, uczciwych i niepionów, pracowitych i leniuchów. To też syn lorda zostaje farmerem, fabrykantem lub handlowcem, nie uroniwszy nic ze swej godności.

Władzę swoją rodzice angielscy zachowują na ważniejsze tylko zdarzenia, aby jej zbyt nie pospolitować; w mniejszych rzeczach zostawiają dzieciom swobodę, używając więcej rad i ostróg, niż rozkazów; pozwalają dziecku zastanowić się i przekonać samemu.

Zamiast zbierać dla nich pieniądze, rodzice angielscy starają się przedewszystkiem dać dzieciom dobre wychowanie i wykształcenie, aby mogły sobie same zdobyć stanowisko w świecie; to też młodzież wychodzi w świat gotowa walczyć w przeciwnościach żywymi i zwyciężyć wszelkie przeszkody. Co więcej, Anglik lubi przeszkody, potrzeba mu ich, aby swoją energią wykazać i spożytkować.

Autor wyraża się o szkołach francuskich, że wydają one literatów, urzędników, biurokratów, ale nigdy ludzi zdolnych radzić sobie samym w życiu. Natomiast przytacza odpowiedź pewnego młodego Anglika: „Oh, nie sądzę pan, że jestem bardzo uczony; w szkołach angielskich nie uczą nas nadzwyczajnych rzeczy, ale tylko jak mamy dobrze pokierować swe życie.“ Duma spokojna, przebijająca się w tych skromnych słowach zachwyca go i unosi; pragnąłby, żeby i młodzież francuska mogła tej umiejętności nabywać w szkołach.

Na zakończenie przyznaje stanowczo wyższość społeczeństwu, gdzie inicjatywa indywidualna jest rozwinięta, gdyż one to tworzą środowisko odpowiednie dla wzrostu moralności energicznej, odpornej, wytrwałej, ponieważ życiem moralnem nazywamy bezustanne zwyciężanie samego siebie. Nie ma zaś lepszej do tego szkoły jak ustroj społeczny, który zmusza do liczenia tylko na samego siebie; nie jest, zdaniem autora, odpowiedniejszego do surowego, poważnego pojmowania życia. Napisano jest: „Będziesz pracował na chleb twój w pocie twego czoła.“ Te słowa nie tylko są podwaliną potęgi społecznej, ale także i potęgi moralnej. Narody, które się usuwają, za pomocą różnych drobnych kombinacji od tego prawa ogólnego, podlegają karze zwyrodnienia i obniżenia poziomu moralnego; taką niższość przedstawiają czerwonoskórzy w stosunku do ras wschodnich, ci znów w stosunku do narodów Zachodu, a zaś ludy plemienia łacińskiego i germańskiego do rasy anglo-saskiej.

Niezmiernie interesująca ta książka porusza oprócz kwestyi wychowania, wiele jeszcze ważnych zagadnień społecznych i rzuca dużo nowych spostrzeżeń i myśli; a choć nie na wszystko można się zgodzić w zupełności, jednakże radziłabym każdemu ją przeczytać. Jest tam wprawdzie bardzo wiele ślepego uwielbienia dla przymiotów i energii rasy anglo-saskiej; autor zdaje się zapominać zupełnie, że rasa ta, tak przez niego zachwalona, odznacza się niesłychaną bezwzględnością w stosunku do plemion pobitych i że zbyt ni rozwój energii i samodzielności częstokroć zagłusza w człowieku miłość bliźniego. Wpada nawet w taki zapal, podnosząc dodatnie strony społeczeństwa angielskiego, że utrzymuje, iż jest tam najwięcej ludzi szczęśliwych i zadowolonych, zapominając o spleenie, owej czysto angielskiej chorobie. Zresztą ani Francuzi, ani żaden inny naród nie może się przerożyć na Anglików, gdyż właściwości plemienne wyrabiają się pod wpływem warunków, a może właśnie tajemnicą potęgi rasy angielskiej jest zupełne samopoznanie i ocenienie cech, stanowiących jej charakter narodowy, a następnie rozwijanie ich w odpowiednim kierunku. To też Juliusz Lemaitre w artykule poświęconym książce Demolins'a, odpowiada na zarzuty czynione przez niego społeczeństwu francuskiemu, dowodząc, że nie wszystko co autor potępia jest potępiania godnem, np. przywiązanie Francuzów do ziemi rodzinnej, które u Anglików zamieniło się w patryotyzm kolonizacyjny, niosący wszędzie wraz z sobą własną ojczyznę, wytworzony przez warunki, w jakich znajdowało się zawsze to plemię wyspiarskie. Lemaitre dodaje słusznie, że niepodobna żądać od Francuzów, by przerobili się na Anglików, natomiast należałoby pragnąć, by pracowali nad podniesieniem i udoskonaleniem swoich właściwości rasowych natyle, aby w przyszłości mogły dorównać zaletom, odznaczającym plemię anglo-saskie. Słowom tym możemy tylko przyklasnąć, nie wątpiąc, że społeczeństwo francuskie pójdzie za ową mądrą i głęboką radą.

Marya Łopuszańska.

KORESPONDENCYA PARYZKA.

Przegląd Mód.

Paryż, d. 1 Lipca 1899 r.

Skończyły się zawsze świetne wyścigi Grand-Prix, ścigając niezliczone tłumy ludzi, a między niemi śmietankę towarzystwa wielkiej stolicy w najmodniejsze szaty przybrana. Na wielkiej arenie wspaniałego pola Longchamp, ciągnącego się po za bułońskim laskiem, zebrały się dwie wybitnie różniące się między sobą partye Gwelfów i Gibelinów. Partya „ultra-chic“ z wyrafinowaną prostotą, powagą i dobrym gustem, odcinająca się na różnobarwnem tle drugiej grupy elegantek, strojnych w bogate jedwabie, koronki, gipiury, powiewne gazy, muśliny, kwiaty i drogie kamienie — słowem, kosztowna, lśniaca i wabiąca oczy wszelkimi kolorami tęczy, a taka świetna i piękna, iż pomimo przerażenia wywołanego myślą, co takie tualety muszą kosztować, jesteściey nieomal wdzięczni owym szalonym zbytnicom, że nas takim wspaniałym widowiskiem obdarzyły. Inaczej i to wkrótce, Paryż utraciłby swój zwykły charakter, gdyż pomimo wielkiego wdzięku kostyumu „genre tailleur“, są zanadto suche, nużą jednostajnością, a nadewszystko na poobiednie spacerery, mojem zdaniem, są zupełnie nie stosowne. Tymczasem, utworzył się obóz zapalonych zwolenniczek angielskiego fasonu kostyumów i panie te wprowadzają na poobiednie spacerery wykwiłtne, acz skromne angielskie kostyumu.

Do ostatniego obozu należą przeważnie damy z wielkiego świata tutejszej arystokracji, lecz i na ulicach coraz więcej widzieć się daje ten charakter ubrania. Taka zmiana wytworzyła się zapewne potrzebą, a tą jest coraz więcej wchodzące w użycie automobile, jasna, elegancka tualeta zupełnie się nie nadaje i tu jest klucz owej zagadki, dla czego klasyczne kostyumu, zwane „tailleur“, zdobywają sobie coraz to większe powodzenie.

Ranne przechadzki w alejach lasku wytworzyły specjalny rodzaj przeslicznych, bezpretensjonalnych kostyumów, które następnie mogą być użyte na rano u wód. Po większej części kostyumu te są wykonane z szarego lub kolorowego płótna, z nankinu, piki, lub zefiru. Zaznaczyć tu muszę bardzo ładny tego rodzaju kostyum z jasno-granatowego płótna i białej piki wykonany. Na białej, pikowej spódnicy, wycięta w zęby rzucona tiunika z granatowego płótna. Stanik tworzył długi surducik z przodami z białej piki. Doskonale był tutaj przystosowany kapelusz z cienkiej, ciemno-kawowej słomki, z boku i tyłu podpięty bladło-żółtymi różami, całość bardzo ładna.

Drugim bardzo wdzięcznym rannym strojem była „robe princesse“, wykonana z różowego zefiru, przybrana szerokimi wyłogami z irlandzkiej koronki i takimże samem naszym na połowie sukni. Kapelusz stanowiła przesliczna kapotka, przybrana drobnymi różami i niezapominajkami.

Trzecią bardzo ładną sukienkę zauważyłam z jasno-żółtej, grubo-prążkowanej piki. Przód stanika nałożony białym, plisowanym muślinem. Kołnierzyk duży z białego haftu. Spódnica z odcinaną falbaną. Kapotka z naturalnej słomki, przybrana owsem, ponsowemi makami i czarną aksamitką. Parasolka z jasno-żółtego nankinu, przerabiana dwa razy gipiurami wstawkami „à jour“. Rączka z ponsowej laski, gdyż w obecnym sezonie, powszechnie kolorowych rączek używają do parasolek.

Na strojniesz suknie bardzo są używane czarne, lub kolorowe pół-jedwabne materyale morowane, co szczególnie pięknie się nadają w połączeniu z innymi lżejszymi tkaninami, jak: jedwabny muślin, lub lekka krepa. Na wzór podaję opis zachwycającej tualety, wykonanej z jasnej, popielatej, pół-jedwabnej mory, o kapryśnym, węzowatym deseniu „moire antique“. Spódnica fałszywa jedwabna, nałożona wysoką falbaną z jedwabnego popielatego haftu. Z wierzchu tunika z mory, wycięta w wydłużone zęby, objęte atlasową, popielatą wstążką. Stanik z mory, bolero krótkie, zaokrąglone, z wyłogami, zapięte patkami na guziki kryształowe. Przód nałożony haftem takim samym, jak u spódnicy. Rękawy obcisłe, w górze haftem nałożone. Pasek z popielatej, atlasowej wstążki.

Do sukien letnich strojniesz noszą tego roku pół-długie rękawy, do których należy zastosować długie rękawiczki.

Co do obuwia, to bardzo są noszone: trzewiki, pół-buciki i pantofelki z popielatej, miękkiej skórki, oraz czarne z kozłowej skórki, różnokolorowo stę-

nowane, a najczęściej wyszyte czerwonym lub zielonym kolorem. Buciki z białej skórki, lakierem czarnym lub kolorowym obłożone, są jeszcze bardzo chętnie noszone, za to zielone obuwie zupełnie wyszło z mody.

L. S.

Kapelusz dla dziewczynek od 10—11 i od 13—14 lat.

Rycina Nr 3 i 4.

Kapelusz ryc. Nr 3. Duża, florencka pasterka, z rondem podniesionem z tyłu i ułożonem w fałdy. Przybranie stanowi opasanie z ponsowego aksamitu, kokarda z tegoż samego i gałązka ponsowych wisien z jasnymi, zielonymi listkami.

Oryginalny kapelusz ryc. Nr 4, z czerwonej, fantazyjnej słomy, rondo ma podniesione z przodu i główkę kulistą. Rondo przytrzymuje duża kokarda z ponsowego „taffetas“, przez którą przeciągnięty jest pęk zielonej trawy. Szerokie końce do wiązania, z tegoż co kokarda „taffetas“, przymocowane są małemi agrafkami.

Ubranie formą „princesse“, na obiady, reuniony i t. p.

Rycina Nr 6.

Przód sukni, wykonanej z zielonej, jedwabnej materyi, pokrywa aplikacja z sukna, w ciemniejszym odcieniu, zakończona jedwabnym



Nr 1. Ubranie z płócienną etaminy do kąpieli morskich. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—6).

sznurem i wyszyciem z białych pailletek. Aplikacja u dołu szeroka, w stanie wązka, przeciąga się aż do szyi i ta tworzy rodzaj otwartego karczka. Karczek położony jest szmizetką z białej, plisowanej gazy. Festony z tejże gazy zakończone aplikacją na staniku. Rękawy, oszyte plisowaną, gazową falbanką, również przybrane są aplikacją.

Ubranie spacerowe sznurowane.

Rycina Nr 7. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 51-60).

Gładka, powłóczysta suknia, forma „princesse,” z lekkiego, szarego sukienka, po obu stronach, od góry do dołu przeciągnięte ma sznurowanie z jedwabnego sznura, przytrzymanego dwoma rzędami drobnych, kryształowych guzików. Takież same sznurowania przeciągają się na rękawach i wzdłuż napierśnika, wypełniającego otwarcie przy szyi. Podwójne, krótkie wyłogi, zakończone są żabotem z plisowanej, białej gazy. Wyłogi mogą być z tego samego co suknia materiału, albo, jeśli tualeta ma być strojnieszą z białego, jedwabnego rypsu.

Oryginalny kapelusz z jasnej, fantazyjnej, niebieskiej słomy, rondo ma podniesione z przodu i przytrzymane tufem krótkich, białych, strusich piór. Dwa piersa długie, również białe, stanowią przybranie po obu stronach.

Nr 9-12. Kapelusze i krawaty.



Nr 6. Ubranie formą „princesse,” na obiady, reuniony i t. p.



Nr 2. Pikowa sukienka pani od 14-15 lat. (Kroj i opis pierzyna tablicy Nr II, fig. 44.) (patrz d.)

Nr 3 i 4. Kapelusze dziewczęcy od 10-11 i od lat.

Nr 5. Sukienka dziewczynki od 4-5 lat. (Kroj i opis pierw. sily Nr V, fig. 30-)

wyższą, aniżeli z n. Przybranie stanowi ws szeroka w dwóch ponsowycieniach, związana w ten o, że kokarda zamiast puworzy liście. Brzeg wstążki podszy niewidocznie najcieńszym drucikiem, jej trudno jest k o k a r d e o u ł o ż y ć. Przez kokardę ciągnięty jest pęk trawy.

Kapelusz ryc. Nr z rondkiem prostym, z gniezbyt wysoką, przybrant także wstążką w dwóch cieniach. Rozeta, zrobiona wstążki imituje duży kwiat spodnią część użytą jest ca ciemniejsza, na wierzchołku jasna. Opasanie stanowi wstążka jasna. Za rozetę ciągnięty jest pęk rajskich piór.

Krawat ryc. Nr przypięty do kołnierzyka z białej, atlasowej wstążki, składają się z paru pukił tej wstążki, związanych z tą brusselską koronką.

Kołnierzyk ryc. Nr z białego „taffetas,” z kokardą, bardzo strojnie wia przez wyszycie „à jour” ożników koronkowych, z dem podwójnej merszki.



Szkic do Nr 14. do Nr 2.

Nr 7 Ubranie spacerowe sznurowane. (Kroj odwr. str. tablicy Nr IX, fig. 51-60), Nr 8. Suknia z odmienną bluzką

Suknia z odmienną bluzką.

Rycina Nr 8.

Do czarnej, gładkiej jedwabnej spódnicy, bardzo ładnie zastosowaną jest bluzka z białego „taffetas.” Plecy i boki bluzki składają się z poprzecznych zakładek. Prząd zapięty na drobne guziczki, odszyty jest w rodzaju gorsu u męskiej koszuli, a zakończony przy brzegach drobną falbaneczką. Pasek biały, rękawy długie gładkie. Duży krawat z jedwabnej gazy dopełnia całości.

Kapelusze modne i krawaty.

Rycina Nr 9-12.

Kapelusz ryc. Nr 9, z złotego i białego bastu, główkę ma wklęsłą i z tyłu znacznie

Letnie ubranie z haftowanego batystu.

Rycina Nr 17.

Nadzwyczaj elegancka letnia ta suknia, składa się z tiuniki i bluzki z batystu „écru” w białe, haftowane gwiazdy, oraz ze spódniczki z batystu gładkiego, zakończonej kilkoma drobnymi falbankami. Brzeg tuniki, oszyty jest szeroką wstawką z haftu, która przeciąga się z lewego boku aż do stanu i przykrywa z tegoż boku zapięcie bluzki. Rękawy i stojący kołnierzyk, wykonane są z batystu gładkiego, ułożonego w drobne zakładki. Długa, biała szarfa z białego „crêpe de chine u” obcisła bluzkę w stanie.



Nr 18. Haftowana sukienka dla dziecka od roku do dwóch lat. (Kroj i opis pierwsza strona tablicy Nr VII, fig. 43-45).

Nr 19. Pikowa sukienka dla chłopczyka od 2-3 lat. (Kroj i opis odwrotna strona tablicy Nr XV, fig. 97-102).

Bluzki z muszliny na kolorowych staniczkach.

Rycina Nr 23 i 24. (Kroj do ryc. Nr 23 odwr. str. tabl. XII, fig. 80-83).

Bardzo eleganckie bluzki z białego muszliny, przybrane valencienkami, praktyczne są przez to, że wykonane bez podszewki, łatwe są do prania. Noszą się na jedwabnych, lub satynkowych staniczkach, odpowiedniego koloru do spódniczki.



Nr 13. Ubranie z fularu. Nr 14. Kostium z zakleciemi do morskich kąpiei. (Kroj i opis pier. str. tabl. Nr IV, fig. 22 do 29), patrz szkic c.

Ubranie z fularu.

Rycina Nr 13.

Materiał: fular niebieski w duże, białe punkty. Przybranie: pliska z białego „taffetas” i biała gipiura. Spódnica oszyta falbaną, zwiężającą się z przodu i wznoszącą aż do stanu. Falbanę zakończa pliska z „taffetas,” także sama naszyta jest po nad falbaną w odstępnie 4 centim. od gipiurowej wszewki, przytrzymanej po obu brzegach wązkami pliseczkami z „taffetas.” Stanik przybiera karczki z gipiury, oszyty wokół potrójną falbaną. Każdą z falban zakończona pliska z „taffetas.” Wązka pliska z „taffetas” zastępuje pasek.



Nr 15. Haftowana sukienka dla dziewczynki od 3-4 lat. (Kroj i opis odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 103-106).

Nr 16. Ubranie z materiału do prania dla chłopca od 9-10 lat. (Kroj i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 75-79).

Nr 17. Letnie ubranie z haftowanego batystu.

Bluzka ryc. Nr 23, przybrana jest wylógami, wykonanemi z wstawek i zakładczek i takąż szmizetką. Rękawy mają podobne zakończenie.

Bluzka rycina Nr 24, zapięta z boku, bardzo strojna, cała naszyta jest wzdłuż: wstawkami, drobnemi falbaneczkami z valencienki i zakładkami. Tak zakładki, jak i falbaneczki, powinny schodzić się na ramionach. Rękawy w górze i przy ręku, zakończone są podobnem przybraniem. Krótka, motylkowata kokarda spina kołnierzyk.

Ubranie spacerowe, przybrane haftem „à jour.”

Rycina Nr 25

Tualeta z jasno-brązowego sukienka składa się ze spódnicy, zakończonej wokoło równą, niezbyt wysoką falbaną, zapiętej z boku na kryształowe guziczki, oraz ze stanika, zapiętego z boku i obciśniętego w pasie wązkim ukosem aksamitu. Ponad falbaną, na spódnicy, ciągnie się haft ażurowy, podłożony srebrzystym atłasem. Odpowiedni haft, tak samo podłożony, przybiera przód stanika i pokrywa całe rękawy. Prócz tego, brzeg przodu stanika zakończa plisowana falbanka ze srebrzystego atlasu.

Bardzo gustowny kapelusz z brązowej słomki, przybrany jest dwoma piórami brązowemi i jednym białym, oraz białą gąz, która też stanowi wiązanie, pod rondem przypięte są ponsowe róże bez liści.

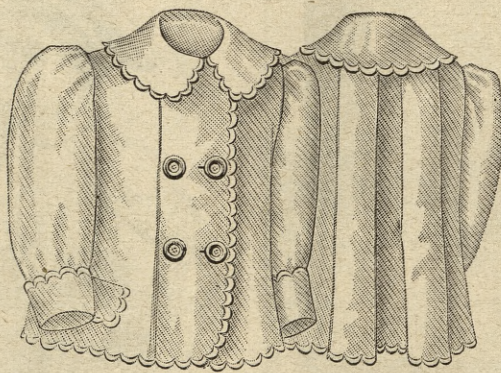


Nr 23 i 24. Bluzki muślinowe na kolorowych staniczkaach. (Kroj do ryc. Nr 23 odw. str. tabl. Nr XII, fig. 80—83).



Nr 21. Spódniczka z alpaki. (Kroj i opis pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 39—42).

Nr 22. Fartuszek dla dziewczynki od 10—11 lat. (Kroj pierwsza strona tablicy Nr VIII, fig. 46).



Nr 20. Kaftaniki pikowe dla dziewczynek od 2—3 lat. (Kroj i opis odwrotna strona tablicy Nr XIV, fig. 92—96).

Przepisy gospodarskie.

SOK POZIOMKOWY.

Sześć kwart dojrzałych poziomek przesypać dwoma funtami mialkiego cukru i niech się macerują przez 24 godzin. Po tym czasie wlać poziomeki do worka płóciennego, aby sok wolno ściekał i pozostał zupełnie czysty. Wtedy do kwarty soku dolać małą szklanę dobrego araku, wymieszać i ponalewać do niewielkich su-

chych butelek i umieścić w piwnicy do zachowania. Z pozostałych poziomek resztę soku wycisnąć, wysmażyć na galarete, lub pozostawić jako sok do prędkiego użycia.

KONFITURA Z MORELI.

Z dojrzałych moreli zdjąć skórę, pestki powyjmować, owoc wrzucić do wrzącej wody i natychmiast po zagotowaniu zdjąć z ognia i na sito wyrzucić do osiáknienia.

Do funta moreli wziąć półtora funtu cukru, zrobić syrop niezbyt gęsty i nalać nim morele, robiąc to samo do trzech razy, co 24 godzin. Trzeciego dnia morele w syropie dosmażyć, a po wystudzeniu nałożyć w suche słoiki, pokryć bibułką w araku lub spirytusie umaczaną, obwiązać pergaminowym papierem i pozostawić do zachowania.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z poziomek.
2. Paszteciki we francuskim cieście.
3. Kotlety cielęce z groszkiem.
4. Rzodkiewka z białym sosem.
5. Kurczęta z kompotem z wiesien.
6. Lody malinowe.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mające.



Nr 25. Spacerowe ubranie z letniego sukienka, przybrane ażurowym haftem.



Nr 26. Kostyum z wełny w kratkę, przybrany pliskami z materyału gładkiego. (Kr. i op. odw. str. tab. Nr X, fig. 61—74).